

Pismo

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2024 | NR 3 (75)

REPORTAŻ

Jak nie roztrwonić polskich talentów

ROZMOWA

(Anty)rewolucyjna edukacja

WOKÓŁ KSIĄŻEK

Zabójczy portret zbiorowy

LITERATURA

Wiktoria Biezuńska Ali Smith

CENA: 19,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0 3 >



9 772544 502401

MAGAZYN OPINII

Pismo

MARZEC 2024 | NR 3 (75)





MARCIN CZAJKOWSKI (ur. 1986), redaktor, z wykształcenia historyk i antropolog kultury. Publikował m.in. w: „Mówią Wieki”, „Newsweeku”, „Polityce” i „Tygodniku Powszechnym”. W „Piśmie” odpowiada za redakcję językową, weryfikację wszystkich publikowanych treści i dziennikarstwo danych.

Jak wygląda *fact-checking* w „Piśmie”?

W „Piśmie” uważamy, że z przygotowaniem tekstu do publikacji jest jak z wychowaniem dziecka – potrzeba do tego całej wioski. Chcemy, abyście czytali i czytały jak najciekawsze, najrzetelniejsze i napisane jak najpiękniejszym językiem artykuły. Dlatego wiele wymagamy od naszych autorów i autorek, ale też zapewniamy im odpowiednie wsparcie. Wszystkie treści, które publikujemy, przechodzą wieloetapowy proces weryfikacji.

Za pierwszy etap odpowiada redaktorka (rzadziej redaktor) prowadząca dany tekst. Identyfikuje i sprawdza kluczowe dla tekstu fakty, których zmiana poważnie wpłynęłaby na wydźwięk całości. Czy artykuł jest przekonujący? Czy dowiadujemy się z niego czegoś nowego? Czy przedstawia temat z różnych punktów widzenia? Czy tezy zostały poparte argumentami? Czy źródła informacji są wiarygodne i czytelnie oznaczone? To tylko kilka z wielu pytań, które padają na tym etapie pracy. Następnie redaktorka przekazuje tekst reszcie zespołu, zbiera uwagi, a potem odsyła tekst autorce. Nierzadko proces ten się powtarza, a taki ping-pong między autorem a redakcją składa się z kilku podań.

Za drugi etap weryfikacji odpowiada kolejna redaktorka, która skrupulatnie sprawdza wszystkie informacje, między innymi daty, miary, nazwiska, oceny, opisy miejsc, postaci i przedmiotów, terminy geograficzne i specjalistyczne. Upewnia się, czy cytaty zostały wiernie przytoczone, a także czy dana informacja nie została wyrwana z kontekstu. Posiłkuje się przy tym różnymi źródłami: od mediów społecznościowych i recenzowanych czasopism naukowych po zdjęcia stockowe i satelitarne. Następnie tekst wraca do autorki, a ta zapoznaje się ze zmianami, odpowiada na pytania, wprowadza poprawki lub stara się nas przekonać do swoich racji.

W tym czasie trwa już trzeci etap, prowadzony przez redaktora do spraw weryfikacji informacji i dziennikarstwa danych, czyli mnie. Wyrywkowo sprawdzam informacje, które dotąd pomyślnie przeszły *fact-checking*, a szczegółowo wszystkie te, które zostały zmienione na

wcześniejszych etapach. Zdarza się, że – za wiedzą autora – dzwonię do pojawiających się w tekście bohaterów bądź ekspertów, by zweryfikować ich wypowiedzi.

Jeśli dany artykuł porusza szczególnie wrażliwy bądź wyspecjalizowany temat, kierujemy go jeszcze do konsultacji do zewnętrznego eksperta lub ekspertki.

Tak wypucowany i wychuchany tekst przechodzi wreszcie przez dwie korekty. Obie nasze korektorki również dokonują wyrywkowego *fact-checkingu*. Zdarza się, że błąd przedziera się przez wszystkie poprzednie etapy weryfikacji, a wyławia go oczko w tym sicie. Raz autorka uśmierciła jedną z trzecioplanowych dla tekstu postaci, która dopiero na tym etapie pracy szczęśliwie zmartwychwstała.

Podstawą całego procesu jest wątpliwość w podaną w tekście informację – drążymy tak długo, aż uda nam się potwierdzić w wiarygodnym źródle jej prawdziwość. Nasza postawa względem autorów jest jednak odmienna: ufamy, że wykonują swoją pracę najrzetelniej, jak się da. Nie chcemy ich łapać za rękę, chcemy być ramieniem, na którym mogą się oprzeć. Bo potknięcia zdarzają się każdemu. Chcemy, aby byli spokojni, że w razie czego mogą na nas liczyć. Podobnie też traktujemy samych siebie: kolejno sprawdzając po sobie teksty, wspieramy się i uczymy od siebie nawzajem.

Każdy numer „Pisma” to średnio 250 tysięcy znaków i półtora tysiąca informacji do zweryfikowania. Aby je sprawdzić, potrzeba zespołu. Dlatego dziękujemy wszystkim naszym stałym współpracownikom, które wspierają lub wspierały nas w tym procesie. Doroto, Edyto, Ewo, Ilono, Joanno, Karolino, Magdo, Moniko, Urszulo i Zofio, bez Was byłby on niemożliwy.

Nie dzielimy błędów na mniejsze i większe. Nawet najdrobniejsze potknięcie wymaga poprawki, bo Wasze zaufanie, czytelnicy i czytelniczki „Pisma”, jest warte największej staranności. Niestety, czasem coś przeoczymy, a wtedy jesteśmy Wam wdzięczni podwójnie: za to, że wychytujecie błędy i nas o nich informujecie (piszcie do nas na factchecking@magazynpismo.pl), oraz za to, że wciąż chcecie nas czytać.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/fact-checking i dowiedz się więcej o tym, jak wygląda proces weryfikacji informacji w „Piśmie”.



Pismo.

MARZEC 2024

PROZA FELIETON

Przyjechały | 6
WIKTORIA BIEŻUŃSKA

You choose / Wybierz ty | 90
ALI SMITH

POEZJA APTECZKA

I tyle w temacie | 3
MIREŁA IWANOWA

Sycylijka | 11
DARKO CVIJETIĆ

Aranżacja | 33
ANJA ERĀMAJA

OBRAZ

W KADRZE **Siwy i Maja** | 4
AMADEUSZ ŚWIERK

FOTOREPORTAŻ **Ostatnia nadzieja Syryjczyków** | 34
KAROL GRYGORUK, ANNA ALBOTH

KOMIKS **Wyżej niż kondory** | 66
ANNA ZALEWSKA

W RAMACH PISMA **Bałagan ucieleśniony** | 80
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o FRANCIS STARK

ŻARTY RYSUNKOWE
FILIP ZAWADA

OKŁADKA **Przerósł oczekiwania**
ANNA GŁĄBICKA

2 | ROZMOWY Z K. **Samotność miasta i prażona kukurydza**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos talentu**
ZUZANNA KOWALCZYK

65 | **Co w niej trzyma...**
PATRYK RÓŻYCKI, pyta MATEUSZ ROESLER

REPORTAŻ

12 | **Kosmos, jednoróżce i wyspy szczęśliwości**
JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA bada losy bohaterów pewnego zdjęcia

44 | **Bramy pałacu**
JON LEE ANDERSON opisuje Etiopię pod rządami premiera nagrodzonego Noblem

ROZMOWA

22 | **Gdy mędrzec uczy mędrca**
ZUZANNA KOWALCZYK pyta o szkołę polską *power family* edukacji

ESEJ

58 | **Pomniejsze uczucia**
CATHY PARK HONG wyjaśnia, jak wygląda rasizm wobec mniejszości azjatyckich

HISTORIA OSOBISTA

74 | **Przeszycie przeżycia**
BEATA CYRUCHIN o tym, jak uszyć opowieść, gdy brakuje słów

WOKÓŁ KSIĄŻEK

82 | **Gdzie się ukryły morderczynie?**
MAGDALENA NOWICKA-FRAN CZAK kreśli portret zbiorowy literackich zabójczyń

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszynska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazmierowska (sekretarstwo redakcji),
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Joanna Dolecka, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska, Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek,
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szef marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski, Promocja: Ewa Salamon, Marketing: Mateusz Roesler,
E-commerce: Anna Ostrowska, Subskrypcje: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Czasami zastanawiałam się nad napisaniem listu do Ciebie, ale zawsze gdy (...) przychodziła mi taka myśl do głowy, bałam się, że moje problemy są na to zbyt głupie. Teraz stwierdziłam, że potrzebuję przelania na wirtualny papier tego, co mnie dręczy. (...) Dręczy mnie, że jestem tak bardzo samotna. Tak, wiem, oklepane, typowy problem współczesnego świata, ale mówię serio. Nie wiem, jak z tego wyjść, staram się to zrobić od dawna i mam wrażenie, że wszystko zawodzi. (...) Gdybym była okropną osobą, która nie ma w sobie ani trochę serca dla drugiego człowieka, pewnie sama byłabym sobie winna. Wydaje mi się jednak, że nie jestem taka, a myślę tak chociażby dlatego, że nieraz słyszałam od innych ludzi, że jestem wartościowa i fajna. Dlatego właśnie mnie ta samotność tak dziwi – niby ludzie mnie lubią, a jednak zawsze się okazuje, że ostatecznie znajduję się na drugim planie i nie ma nikogo, dla kogo byłabym naprawdę ważna. (...) Nie mam przyjaciół, nie mam bliskich osób, którym mogłabym się wygadać, gdy coś mnie trapi, mam za to bogate doświadczenie w zakresie wizyt u psychologów, psychoterapeutów i psychiatrów, które w pewnym momencie zaczynają nużyć, bo przyjaciół jak nie było, tak nie ma. Jak z tym żyć (i co to za życie)?

Z pozdrowieniami,
Drugoplanowa

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Samotność miasta i prażona kukurydza

Kochana Drugoplanowa!

Zastanawiam się, czy lubisz chodzić po mieście; nie w dni słoneczne czy dni ważne, ale w dni zwykłe, bardzo zwykłe; w dni, kiedy chmury udają niebo, kiedy ludzie biegną do pracy, kiedy hałaśliwe tramwaje niezamordowanie, w odwiecznym rytmie przystanków, wypływają jednych pasażerów i połykają drugich; kiedy na przejściach dla pieszych tworzą się gigantyczne krople cieczy ludzkiej, a potem wraz z zielonym światłem napięcie powierzchniowe puszcza i człowieczy płyn przelewa się w ulicę. Zastanawiam się, co myślisz, kiedy przypadkiem potrącają cię na ulicy dziewczyny w garsonkach, mężczyźni w garniturach, licealiści z plecakami, robotnicy w jaskrawych kamizelkach; kiedy kupujesz kawę w zatłoczonej Żabce, a ona parzy ci zmarznięte ręce. Zastanawiam się, co czujesz, bo ja wtedy niewiele czuję, jest trochę tak, jakby mnie nie było, moja głowa jest wtedy jak ulica, po której krąży wiatr i podrywa do życia skrawki śmieci, kawałki zapomnianych tekstów. Oto przelatuje fragment piosenki z serialu *W garniturach: Living in a beehive and I don't mind*; potem jakieś reklamy, następnie pojawia się Barańczak (*Każdy z nas ma schronienie*): „Każdy z nas ma schronienie w betonie, / oprócz tego po jednym balkonie, / na nim skrzynkę, gdzie sadi begonie”.

Kochana Drugoplanowa, Barańczak pisze dalej: „Z okna widać w porze szarówki / stuwatowe w innych oknach żarówki / a pod blokiem kredens z ciężarówką”. I kończy tak: „właśnie znosi firma transportowa / i ktoś dźwiga – ale się zmordował – / sofę, która jest jak zawsze bordowa”. Niby nic, zwykła scena widziana z okna bloku; ale myślę sobie, że Barańczak pisał ten wiersz z wnętrza betonu miasta, bo tam właśnie najsilniej dotyka nas moc faktu, że życie jest puste i powtarzalne, że wszyscy jesteśmy trochę samotni pod swoimi stuwatowymi żarówkami, że wszyscy jesteśmy na zawsze na drugim planie, że każdy z nas biegnie z kawą z sieciówki, a wieczorem powraca do swojego betonowego schronienia, gdzie siada na swojej sofie (raczej szarej niż bordowej, bo podaż kolorów zmieniła się od 1978 roku, kiedy Barańczak pisał ten wiersz) i podłącza się za drobną opłatą do strumienia bodźców administrowanych przez carów rozrywki. Przeprowadzka w tym wierszu nie zmienia niczego; jeden mieszkaniec zastępuje drugiego, a kredensy i sofy są wciąż takie same; podmiot liryczny też jest obojętny wobec sąsiedzkich przemian; inni ludzie wyslizgują się percepcji. Bo w mieście każdy jest nikim, każdy jest zawsze na drugim planie.

Ale wiem, że to cię nie pociesza, moja Drugoplanowa. Bo nawet jeśli wszyscy jesteśmy tak samo drugoplanowi jak ty, to jakoś tak się dzieje (i jest to, należy zauważyć, niesprawiedliwe), że niektórzy z tych drugoplanowych mają jednak swoje drugoplanowe przyjaźnie, a nawet drugoplanowe związki; i razem wnoszą swoje drugoplanowe sofy do swoich schronień w betonie, a potem siadają na nich razem przed Netflixem i jedzą z miski wspólny popcorn. A od wspólnego popcornu puchnie drugi plan, rośnie jak szalony, nadyma się jak balon – i w końcu staje się jedynym planem, na jakim rozgrywają się wszelkie istotne wydarzenia, cała reszta przestaje mieć znaczenie, przynajmniej dla tych dwojga, którzy siedzą razem na tej sofie. I Ty tego właśnie pragniesz; nie pierwszego planu, ale miłości; zniekształcającego rzeczywistość działania wspólnego popcornu.

A jak masz to znaleźć? Nie wiem, bo jesteśmy dla siebie tylko listem; może powinnaś wychodzić, zostawać; stawiać granice, otworzyć się na innych, mocniej wierzyć w siebie, znaleźć hobby, stracić hobby, niepotrzebne skreślić? Nie wiem, ale mogę Ci z całego serca podziękować, że do mnie napisałaś. Bo teraz, przez krótką chwilę, ja myślę z całych sił o Tobie, a ty myślisz o mnie. Jest trochę tak, jakbyśmy jadły wspólny popcorn, a przez to nie ma już znaczenia, że obie mieszkamy na drugim planie. I dzięki temu wiemy, że umiesz znaleźć Innego, że to się może wydarzyć. Może już, może za chwilę. Grzej miejsce na swojej sofie, Drugoplanowa; a kiedy rozlegnie się pukanie do drzwi, od razu wsadź popcorn do mikrofalówki.



Partnerem poezji
w Piśmie jest
IKM, organizator
**Festiwalu
Europejski Poeta
Wolności**, który
odbędzie się
17–20 kwietnia
2024 w Gdańsku

POEZJA

I tyle w temacie

MIREŁA IWANOWA

—


Tam gdzie pamięć nie jest zdeptana
tam gdzie cieszysz się owocami swojej pracy
tam gdzie nie zakopują cię żywcem
tam gdzie zawiść nie jest niemożliwym
do wyplewienia chwastem
tam gdzie nie nienawidzisz z powodu samej nienawiści
tam gdzie słowa to kamienie do budowania nie do obrzucania
tam gdzie wolność jest pierwotnym cudem

tam jest Arkadia
lecz ty urodziłaś się gdzie indziej

Z języka bułgarskiego przełożyła Magdalena Pytlak

**MIREŁA
IWANOWA**

(ur. 1962), bułgarska poetka, publicystka i tłumaczka. Jest autorką dziewięciu książek poetyckich, tomu zawierającego wiersze i opowiadania, jak również zbioru opowiadań oraz esejów. Wielokrotnie nagradzana zarówno w kraju (m.in. Nagroda Stowarzyszenia Pisarzy Bułgarskich, nagroda im. Nikołaja Kynczewa, „Peroto”), jak i za granicą (Nagroda Huberta Burdy dla młodych poetów z Europy Wschodniej). Jej wiersze zostały dotychczas przetłumaczone na angielski, niemiecki, hiszpański, czeski, węgierski, turecki, serbski i łotewski. Od 2016 roku jest dramaturżką Teatru Narodowego im. Iwana Wazowa.



W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Siwy i Maja

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK

—
Mariusz Radzaj „Siwy” i Maja Fiebig to para o statusie kultowej w Karkonoszach. On, punk, wolny duch i pacyfista, po ponad dwudziestu latach życia w Wielkiej Brytanii wrócił do Polski, by z miłości do przyrody zająć się prowadzeniem położonej z dala od szlaków studenckiej Chatki w Karkonoszach. To wyjątkowe miejsce, do którego trafiają ludzie gór i ci, którzy usłyszeli o nim pocztą pantoflową. Nie ma w chatce prądu ani bieżącej wody, a rolę ogrzewania i kuchenki pełni stary piec. Siwemu jednak to nie przeszkadzało, po wielu latach intensywnego życia poszukiwał odpoczynku z dala od cywilizacji. Jako chatar pełnił w niej rolę gospodarza. Często opowiadał o życiu w Anglii, gdzie pracował między innymi jako arborysta, projektant ogrodów czy właściciel knajpy, do której wpadał na śniadania Nick Cave.

Dwa lata temu poznał Maję. W góry zaciągnęła ją koleżanka. To Maja wybrała Siwego. Pomimo sporej różnicy wieku (Maja ma 20 lat, Siwy 47) dogadują się jak rówieśnicy. Przez prawie dwa lata prowadzili razem Chatkę, tworząc w niej niepowtarzalny, rodzinny klimat, który przyciągał wielu miłośników gór. Niedawno razem ze swoimi trzema psami przeprowadzili się do Wrocławia, żeby Maja mogła studiować. Ale często wracają w góry, a do ich nowego miejsca wpada znaczna część górskiego towarzystwa, które poznali w karkonoskiej chatce.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze



Przyjechały

tekst WIKTORIA BIEŻUŃSKA

—
Gdy wchodzę do mieszkania, drzwi od dużego pokoju są zamknięte. Przez chwilę, w ciszy, ściągam kurtkę i buty, wiem jednak, że nie uda się utrzymać tej zapory, za drzwiami pojawia się dziecko i zaczyna uderzać w nie otwartą dłoń. Podchodzę i kładę rękę na szybie, nie wiem dlaczego, to tylko pogarsza sprawę, dziecko piszczy i bębni w drzwi ze zdwojoną siłą. Z głębi pokoju dobiega zmęczony głos matki, słyszę, jak stękając, dźwiga się z podłogi i szurając stopami w rozdeptanych kapturach, podchodzi do drzwi. Chwyta dziecko za nadgarstki i odciąga je od szyby. Światło wpadające przez okno dużego pokoju zasysa dwie rozmazane sylwetki, jakby rozplływały się we mgle. Idę do kuchni i nastawiam wodę na herbatę.

Dziecko zaczyna płakać. Patrzę na rzeczy rozłożone na kuchennym blacie, podłużne opakowanie czekolady z mlecznym nadzieniem, puszkę mleka w proszku, słoiki z papką dla dzieci, otwartą paczkę chrupek kukurydzianych i wysypujące się z niej złociste okruchy, duży słoik kawy rozpuszczalnej. Szybko zdołałam przywyknąć do tego nie mojego rozgardiaszu, zdarza mi się obłudnie sobie tego gratulować, jakby rzeczywiście kosztowało mnie to wysiłek, tymczasem o wiele łatwiej jest nie dbać o własny komfort niż na odwrót.

Drzwi od dużego pokoju otwierają się i do kuchni wbiega Masza. Odbija się od

moich nóg, chwieje się, przez chwilę mam pewność, że upadnie na plecy, ale łapie równowagę i wyciąga do mnie ręce. Podnoszę ją. W drzwiach staje Ana. Wita mnie, uśmiechając się szeroko. Ma zaczerwienioną twarz, załzawione oczy. Na moje „Co się stało?” wzrusza ramionami i uśmiecha się jeszcze szerzej, co chyba oznacza, że mam dalej nie pytać. Przyglądam się więc, jak pociąga nosem, otwiera szafkę, na blacie stawia swój kubek w duże różowe kwiaty. Ma na sobie sweter, który jej przyniosłam, z miękkiej wełny, w kolorze głębokiej czerwieni, z rękawami trzy czwarte i ozdobnym zapięciem z przodu. Ostatnio stale w nim chodzi, wobec czego zdążył się już mocno zmechacić i przesiąknąć dymem z papierosów. „Szkoda tego swetra, mógłby uchodzić za wyjściowy, nawet elegancki” – myślę i natychmiast się za to ganię – niby na jakie okazje Ana miałyby go oszczędzać? Masza wyciąga rękę w kierunku czekolady. Podaję jej wąski pasek owinięty w biało-czerwony papier. Czajnik paruje, Ana wlewa wodę do kubków. Masza jęczy zniecierpliwiona, nie może odwinąć czekoladki, pomagam jej, w tym momencie Ana mówi, że Lena nie przyjdzie. Mówi po rosyjsku, którego nie znam, ale z którym zdążyłam już się osłuchać i jestem w stanie wyłapywać ogólne znaczenie, resztę załatwia translator w naszych telefonach. Nie do końca rozumiem,

dzisiaj nie przyjdzie? – Ani dzisiaj, ani jutro – precyzuje Ana i zaczyna szlochać.

—
PRZYJECHAŁY KILKA tygodni temu, pod koniec zimy. Stały we cztery w małym, kwadratowym przedpokoju i patrzyły po sobie niepewnie. Bałam się, że ta, która trzyma dziecko, dziewczyna w luźnych, spranych różowych dresach i białej kurtce, to Ana, matka Maszy. „Boże, nie chcę jej tu” – pomyślałam, widząc, jak zawstydzona, nieufna Lena łypie na wysoką, szczupłą kobietę, swoją matkę, Tatianę, która płacząc końcówki i potykając się o wyrazy, przedzierała się przez polszczyznę, paplała coś o długiej podróży i jej szczęśliwym końcu, choć wyczerpująca jazda jej nie dotyczyła. Tatiana mieszkała w Polsce już od jakiegoś czasu, gdy wybuchła wojna, postanowiła ściągnąć do siebie córkę i znaleźć też miejsce dla Any – szwagierki – i jej dziecka. Ana się nie odzywała, stała, uśmiechając się niepewnie, w rękach trzymała dwie wypchane kolorowe torby na zakupy. Nie od razu zorientowałam się, kto jest kim, myślałam wtedy, że Ana to jakaś wzięta do pomocy koleżanka.

Dopiero w dużym pokoju dostrzegłam ich bagaż – wielką czerwoną walizkę, która wylądowała na środku pokoju razem z torbami. Leżała jak oczywisty symbol tej sytuacji, na swoim miejscu. Lena stanęła pod ścianą,



koło okna. Nie chciała usiąść ani napić się herbaty. Milczała, wbijając wzrok w matkę. Tatiana położyła na stole małe opakowanie truskawek. Usiadła w fotelu, rozerwała folię i delikatnie wysunęła papierową tackę, na której leżały owoce. Wzięła jeden, nadgryzła. Ana stanęła w rozkroku nad bagażami, poprawiła bluzkę, podciągnęła spodnie, pochyliła się i wyprostowała z pokazną paczką pieluch. Spojrzała na mnie, niepewna, gdzie może ją odłożyć. Zrobiła gest w kierunku regału. Skinęłam głową. „Okej, to jest matka dziecka” – pomyślałam z ulgą i patrzyłam, jak Ana układa rzeczy na półkach, szybkość i pewność jej ruchów sprawiały mi przyjemność, chciałam, by te gesty świadczyły o niej. To krzątaństwo, rozprzestrzenianie się cudzych rzeczy, to natychmiastowe zawłaszczanie przestrzeni przez Anę było czymś o wiele łatwiejszym do przełknięcia niż lęk, wstyd i wyobcowanie Leny. Nie miałam wtedy pojęcia, co to oznacza – zredukować swoje życie do sypialni, gdzie mieści się jedynie łóżko i szafa, nieustannie dbać o najwyżej neutralny ton rozmów, starać się nie nasłuchiwać każdego szelestu za ścianą. Tatiana opuściła dłoń z nadgryzioną truskawką na kolano, celując jej bladym, mączystym wnętrzem w Piotra. Siedział wyprostowany na brzegu sofy i zasypywał ją pytaniami o jej życie w Polsce. Wyglądał jak zdesperowany ankieter, którego w końcu ktoś wpuścił za drzwi, gorliwie zaciękany, przesadnie uważny. Dawno nie widziałam go tak zaangażowanego, tak czymś pochłoniętego i wydawało mi się to nieco niewłaściwe, jakby ta gąsienica z Ukrainy wyzwoliła w nim pragnienie doświadczenia choćby namiastki egzotyki, jakiegokolwiek inności. Jej to wyraźnie schlebiało – słuchała go, szczerząc się, z lekko przekrzywioną głową, dając sobie dużo czasu do namysłu, szukając słów, powoli wędrowała wzrokiem po suficie i wracała do niego, niosąc odpowiedź na starannie ułożonych, przetartych językiem ustach. Ana zatrzymała się z naręczem makaronów i kasz. Spojrzała pytająco. Wyszliśmy do kuchni. Otwierałam przed nią szafki: tu talerze, tu kubki, tu garnki, tu patelnie. Kiwała głową, jasna grzywka wchodziła jej do oczu. W pewien sposób bezwiednie naśladowałam jej ruchliwość – uchylałam i zatrząskiwalam przed nią drzwiczki,

wyrzucając z siebie nazwy przedmiotów, jakby chcąc uchodzić w jej oczach za osobę równie energiczną co ona i jakby to miało nas do siebie zbliżyć. Otworzyłam ostatnią, pustą szafkę i opuściłam ręce. Ana uniosła paczkę z jedzeniem, ułożyła je na półce, przytrzymując chwilę dłonie na opakowaniach. Pomyślałam, że ma świeżo zrobione paznokcie. Dociskałam spojrzeniem jej ręce, palce – zwykłe, duże, pełne palce kobiety o mocnej posturze, bezwstydnie i powoli przeslizgiwałam się po lakierze, płytka po płytce, po pastelowym różu bez skazy, bez odprysków, i nie składało mi się to – gdzie medytacje nad pilnikiem, a gdzie pakowana w pośpiechu walizka, gdzie hybryda, gdzie ucieczka? Westchnęła, drgnęłam. Gdy uniosła dłoń, by zamknąć szafkę, cofnęłam się i wyszłam.

– Przed wojną nie można było wwozić do Polski mięsa, teraz każdy wjeżdża, z czym chce – powiedziała Tatiana, kręcąc głową z dezaprobatą. Usiadłam obok Piotra na kanapie. Masza chodziła w kółko, trzymając przed sobą wielki worek kolorowych klocków. Lena uklękała na podłodze i wyciągnęła do niej ręce. Ana schyliła się i podniosła opróżnioną torbę. Złożyła ją na pół, przycisnęła do brzucha i powoli wygładziła. Spojrzała za okno. Zaszleścił otwierany worek. Masza zanurzyła rękę w klockach. – W Polsce nie ma dobrej słoniny – ciągnęła Tatiana i włożyła do ust napoczętą truskawkę. Wypowiadane przez nią zdania były powolne jak ugryzienia, z długimi przerwami pomiędzy nimi. Ana otworzyła walizkę i usiadła na kanapie. Odgarnęła grzywkę z czoła. Masza podała jej klocek, mocno wciskając go w miękkość wyciągniętej dłoni. Ana wpatrywała się w rzeczy upchane w walizce, trzymając nieruchomą dłoń z klockiem przed sobą. Tatiana przełknęła truskawkę. Wzniósła oczy do sufitu. – Szlifuję, oczyszczam. Czasem maluję. Lubię swoją pracę, nawet bardzo. – Lena wysypała zawartość worka na podłogę. Przez kilka sekund wszyscy patrzyliśmy, jak kolorowe prostokąty i kwadraty rozpryskują się po jasnych drewnianych klepkach. Hałas, jaki się przy tym wytworzył, chyba trochę zaskoczył Lenę, bo zerkała niepewnie to na mnie, to na Piotra. Masza wyrwała matce klocek i rzuciła nim o parkiet. Pisnęła. Za chwilę podniosła inny i zaczęła przechadzać

się po pokoju, uderzając zabawką o meble. Lena wodziła za nią wzrokiem rozbawiona, uśmieszek, który błędził na jej bladych ustach, był jak cienkie pęknięcie albo nierówność na ścianie. „Mam nadzieję, że Tatiana zabierze ją ze sobą” – pomyślałam. Co my z nią pocniemy, jeśli okaże się, że w gąszczu wpisywanych w translator ustaleń między Tatianą a Piotrem doszło do zakłócenia w komunikacji, ktoś coś przekreślił, opacznie zrozumiał? Ana dźwignęła się z kanapy, jej wcześniejsza ruchliwość wyparowała. Podeszła do córki i zaczęła jej tłumaczyć: – Tak nie należy robić, można za to połączyć ze sobą klocki, zobacz. – Masza potrząsnęła głową i odepchnęła ją. Ana się roześmiała. Tatiana cmoknęła i powiedziała coś, co zabrzmiało jak: – *Ach, bałwana*. – Ana poprawiła spodnie. Potarła dłońmi o uda, odgarnęła włosy z czoła. Zajrzała do drugiej torby, dźwignęła ją i postawiła koło regału. Wsunęła walizkę pod stół. Sięgnęła po kubek, upiła. Usiadła na podłodze i zaczęła układać klocki. Brała je do ręki, przesuwała palcem po wypustkach, dociskała, łącząc ze sobą, jej ruchy były teraz ślamazarne i jakby celowo niewprawne. Piotrek usiadł obok niej. Oboje budowali wieże, patrzyli, jak upadają, demolowane przez Maszę, i zaczęli od nowa. – Polacy? – mlasnęła Tatiana. – Taa, są w porządku.

Dziewczynka krążyła między dorosłymi, podając i zabierając im klocki. W końcu się zatrzymała, ściskając w rękach jeden z prostokątów. Patrzyła na mnie z wahaniem. Zaczęłam zsuwać się z kanapy, ostrożnie, jakby Masza była kotem, którego nie chcę spłoszyć, i usiadłam na podłodze. Dziewczynka podała mi klocek i klasnęła w dłonie. Trzymałam go między nami w wyprostowanych palcach, aż zabrała go z powrotem.

– Na początku schodziliśmy do piwnicy za każdym razem, kiedy był alarm, potem przestaliśmy zwracać na to uwagę – powiedziała nagle Ana. Oderwała dłonie od klocków i z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła telefon. Przesuwając palcem po ekranie, ciągnęła: – Nie dało się przespacerować nocy. Ja z dzieckiem, na czwartym piętrze. Góra, dół, góra, dół i tak kilka razy w ciągu nocy. W piwnicy, wiadomo, sąsiedzi zaraz otwierają butelkę, śmiechy, głośnie rozmowy. To nie są warunki dla dziecka.

Piotrek zapytał, czy rozumiem. Kiwnęłam głową. Ana podsunęła mi telefon. Na zdjęciu, na pierwszym planie zobaczyłam ją, w tej samej kurtce, w której przyjechała, siedzącą na skraju czegoś, prawdopodobnie materaca, którego nie było widać pod sterą okryć. W głębi, w rogu pomieszczenia leżała na wznak Masza – ubrana w kombinezon, szczelnie okryta, tak że w zasadzie widać było tylko wycinek jej twarzy, dwa duże, zaczerwienione poliki z białym smoczkiem pośrodku i dwa błękitne punkty oczu. Spórą część kadru zajmowała wybrzuszona pościel, wciąż ten sam atrybut cywili usiłujących przetrwać wojnę – spiętrzone kołdry, pierzyny, bety.

ANA MÓWI, że dostała dziś wiadomość od Tatiany. Lena nie może zajmować się Maszą, ma szkołę, musi się uczyć. I nie, powiedziała matce, że nie poczeka, aż Ana sobie coś zorganizuje, i nie obchodzi jej, co się teraz stanie. Ana odbiera ode mnie dziecko, biorę nasze herbaty i przechodzimy do dużego pokoju. Siadamy na podłodze, na macie z piankowych puzzli z wyjmowanymi ze środka kolorowymi literami i cyframi. Książki i zabawki walają się po całej podłodze, kanapa, która zmieniła się w łóżko matki i córki, jest rozłożona na stałe, na pościel narzucono tylko koc. W rogu pokoju stoi krzeselko do karmienia, na regale pieluchy, mokre chusteczki, patyczki do uszu, maść na odparzenia. Masza przynosi książkę, wyciąga palec, pokazuje: kura, krowa, koń. Ana sięga po telefon i pociągając nosem, klika w ekran, pewnie chce jeszcze raz zajrzeć do konwersacji z Tatianą. Powtarza to, co powiedziała mi w kuchni, tym razem wolniej, skinieniem głowy akcentując koniec każdej frazy, zdania, jakby to było dyktando albo jakby deklamowała wiersz, melodia jej mowy ulega zmianie, gdy chce się upewnić, że dobrze ją rozumiem.

Gdy Ana znalazła pracę, powiedziała, że Lena będzie przychodziła zajmować się Maszą. Nie zapytała nas o zgodę, tylko nam to obwieściła, od początku taki był plan, wymyśliła go jeszcze w Ukrainie. Pomyślałam wtedy, że to dość kruchy układ, nie do utrzymania na dłuższą metę, ale dla niej był wszystkim, na nim miała budować swoje życie tutaj.

Od dwóch tygodni Ana pięć, sześć nocy z rzędu wykłada towar w dyskoncie, dostała od tego bąbli na rękach i połamała paznokcie, bo za odzież ochronną należy wyłożyć z własnej kieszeni, ale to dobra praca, terminowo płatna. W tym czasie zawsze była u nas Lena, przemykała, nie zostawiając żadnych śladów, żadnego kubka ani talerza na suszarce, tak samo błada i unikająca kontaktu jak po przyjeździe, przemawiająca do Maszy ściszym, nieco znużonym głosem. Nad ranem wracała Ana, mając przed sobą jakieś dwie, może trzy godziny snu i tyle samo w ciągu dnia podczas drzemki dziecka, przez co pod jej oczami pojawiły się sińce, a ruchy stały się powolne z przemęczenia.



Pozostawało tylko znaleźć dla ich trójki mieszkanie, wyjaśnia Ana, jakby to była najprostsza część jej planu. Rodzina powinna się wspierać, ona nie zostawiłaby nikogo na lodzie, tak została wychowana. To mówiąc, znów wybucha płaczem i wyciąga ręce do Maszy. Mała rzuca książkę, ochoczo wtula się w matkę.

– Ona żyła w strasznej biedzie – ciągnie Ana.

– Kto? – pytam.

– Lena. Mieszkała z babką na wsi. Do szkoły na drugie śniadanie dostawała gotowane kartofle. Wstydziła się jeść przy koleżankach. Tatiana siedzi w Polsce trzy lata i tylko raz przysłała sto dolarów. Co to jest sto dolarów? To ja Lenie kupowałam to buty, to koszulkę, dawałam kieszonkowe. Co ja teraz zrobię? Co my zrobimy, Masza?

Ana płacze, niezgrabnie obejmując ją ramieniem. Mówię, że zostanę z Maszą.

Najpierw nie chce o tym słyszeć, ale po chwili zgadza się i dodaje, że popracuje do końca miesiąca, a potem poszuka czegoś innego, no i koniecznie trzeba załatwić *sadzik*. Co takiego? Żłobek. Kiwam głową, tak, na pewno wszystko się ułoży, chociaż pierwszy raz od przyjazdu Any mam wątpliwości, czy rzeczywiście uda jej się stanąć na nogi, nie wiem nawet, ile Ana ma pieniędzy, czy będzie w stanie wynająć mieszkanie, jak zamierza szukać lokum i żłobka, nie znając ani słowa po polsku, to oczywiste, że my będziemy musieli się tym zająć, a co, jeśli od początku, od dnia, kiedy przekroczyły próg mieszkania, stanęliśmy na krawędzi katastrofy, z tą kobietą i jej córką na zawsze za naszą ścianą?

Wstajemy z podłogi. Opanowana i w całym dobrym humorze Ana pokazuje mi, jak się przewija dziecko, w co je przebrać i jak ukołysać do snu, ile trzeba odmierzyć mleka w proszku, do której kreski na butelce naleć wody.

Gdy staje się jasne, że zbiera się do wyjścia, dziewczynka zaczyna płakać.

Siedząc na kanapie, bez słowa przyglądam się, jak matka tuli córkę, czule do niej przemawia, jak traci cierpliwość i zaczyna krzyczeć, nazywając ją brzydką i nieposłuszną, jak szarpie ją, ściskając za ramiona, straszy laniem, wreszcie wymierza jej kilka uderzeń w pośladki. W myślach usprawiedliwiam Anę, tyle przeszła, życie jej nie oszczędza, jest sama z dzieckiem, a za chwilę się za to ganię, a następnie usprawiedliwiam siebie, tak trudno mówić i robić ciągle to, co należy, zachowywać się tak, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia, jestem zmęczona tą fasadą, nie chcę zajmować się jeszcze tym, w jaki sposób ta kobieta wychowuje swoje dziecko, prawdę mówiąc, w tym momencie chciałabym, żeby zniknęły.

Zostajemy same z Maszą, która nie przestaje wyc, wyje coraz bardziej. Podbiega do drzwi wyjściowych i wspina się na palce, chce dosięgnąć klamki, chce, by jej w tym pomóc, trzęsie się z desperacji, wyciąga do mnie ręce. Podsadam ją. Po chwili chce zejść, więc stawiam ją na ziemi, podnoszę ją w ten sposób i opuszczam jeszcze kilka razy. Wreszcie wbiega z powrotem do pokoju i szlocha, wrzeszczy, drze japę w najbardziej swobodny, nieskrepowany i ostateczny

sposób. Klękam obok niej i gładzę ją po plecach, nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, biorę więc do ręki komórkę i odpalam YouTube'a. Widziałam, że Ana czasem włącza Maszy rosyjskojęzyczną bajkę o dziewczynce i niedźwiedziu. Dziecko kwili jeszcze siłą rozpędu, ale wesołe dźwięki dobiegające z telefonu ostatecznie przekonują je i siada mi na kolanach. Oglądamy kilka odcinków, wszystkie według tego samego schematu – gapowata dziewczynka pakuje się w kłopoty, z których wyciąga ją jej roztropny przyjaciel i współlokator, niedźwiedź. Masza uspokoja się, przez chwilę myślę, że najgorsze za nami, ale ona napręża nogi i zaczyna stękać, dociera do mnie, że sra. W lekkiej panice prowadzę ją do łazienki, widywałam już, jak Ana ją myje – stawia dziecko w umywalce i ręką wydtubuje resztki gówna pomiędzy pośladek, ja jednak nie chcę robić tego w ten sposób. Rozbieram Maszę od pasa w dół i wstawiam pod prysznic. Odkręcam wodę, czekam aż nieco się nagrzej, następnie usiłuję nakierować strumień wody ze słuchawki na tyłek, ale dziewczynka niecierpliwi się i wierci, moczę rękawy i dół jej bluzki, ona piszczy, miota się po brodziku, rwie do ucieczki, w końcu polewam ją nieco we właściwym miejscu i uznaję, że starczy, jedną ręką zakręcam kran, drugą sięgam po ręcznik. Wycieram ją, rzucam ręcznik na pralkę. Wracamy do pokoju, kładę ją na łóżku. – Proszę, nie wstawaj – mamrocze – wytrzymaj jeszcze chwilę. – Najpierw maść. Smaruję srom i pachwiny, ich widok trochę mnie zaskakuje, są zaczerwienione i pokryte drobnymi krostkami, jestem jakaś zawstydzona, onieśmielona tym jej ufnym, zupełnie pozbawionym wstydu rozkraczeniem, leży całkiem spokojnie, chichocząc cicho, może moje niewprawne, zbyt delikatne ruchy ją drażnią, w każdym razie to, co mnie wydaje się graniczne, dla niej jest rutynowe i zwykłe. Biorę pieluchę. Sprawdzam tył i przód, wsuwam pod pośladek i zaklejam, może nie tak dokładnie i równo, jak bym chciała, ale całość jakoś się trzyma. Jeszcze tylko rajstopy, naciągam je w ostatniej chwili, nim dziewczynka zacznie wierzgać, ostatecznie wyrывa mi się i zeskakuje z łóżka.

Z kartonu z zabawkami wywleka drewniany sześciąt z otworami w różnych kształtach, w środku grzechoczą pasujące do

otworów klocki. Wydobywam je, a ona pracowicie wciska z powrotem – kwadrat w kwadrat, trójkąt, serce, gwiazdę, półksiężyc. Masza ma to opanowane, doskonale wie, który klocek gdzie pasuje, ale nie nudzi jej ta zabawa, przeciwnie, całkowicie ją pochłania, jej ruchy są pełne pasji, podoba jej się dźwięk, z jakim klocki wpadają do środka. Po wielu cyklach wkładania i wyjmowania, pojedynczych uderzeń i zbiorowych gruchotań nadal nie ma dość, jest skupiona i jakby w transie, któremu sama zaczynam ulegać – wydaje mi się, że to przeciskanie kształtów przez otwory to jakiś ostateczny test na realność,



istniejemy dopóty, dopóki będziemy sprawdzać, czy da się przepychać kwadraty przez kwadraty, dopóki trójkąt będzie stawiał opór gwiazdzie i tak dalej. „Nie mamy wyjścia, to jest coś, co należy robić – zdaje się mówić Masza, poważnie patrząc mi w oczy – no dalej, na co czekasz, przepychaj”. Podaje mi czerwony kwadrat i powoli wkładam go w otwór. Nagle Masza zmienia taktykę, źle dopasowuje klocki, popełnia kilka błędów z rzędu, nim trafi w odpowiednią dziurę, jej ruchy stają się niezdarne, jakby zapomniała, jakby zaczynała uczyć się tego od nowa. Podaje mi klocki, żebym robiła to za nią, każdy prawidłowo dopasowany kształt nagradza oklaskami. „Nie dam rady spędzać tak prawie każdego wieczora do końca miesiąca – myślę. – Dlaczego tak ochoczo, tak od razu się zgodziłam, dlaczego nie dałam sobie czasu do namysłu, czy w ogóle jakieś inne rozwiązanie wchodziłoby w grę? Trzeba będzie zaangażować w opiekę Piotrką”.

Zamyślam się i zalewam mleko zbyt gorącą wodą. Wystawiam parującą butelkę na

balkon, gaszę górne światło, zapalam lampkę. – Czas spać, Masza – mówię. Biorę ją na ręce i próbuję kołysać, ale ona domaga się butelki. Otwieram balkon, podaję jej wciąż zbyt ciepłe mleko, które ona zrzuca na podłogę. Odstawiam butelkę, mija chwila, Masza wyciąga rękę w kierunku mleka, butelka spada na ziemię. – Kurwa mać – mówię – nie będzie na razie butelki. – Odstawiam ją na regał. Mała wyciąga ku niej dłoń i jęczy, jednocześnie opiera głowę o moje ramię i zastygła. Chodzę po pokoju, kołysząc ją, może się uda, może nawet zaśnie bez tego cholernego mleka? Nagle dociera do mnie, że od wyjścia Any nie dałam jej nic do jedzenia. Zapomniałam.

Układam Maszę na łóżku i przykrywam kołdrą. Daję jej smoczek, stawiam w pobliżu wciąż zbyt ciepłą butelkę. Kilka razy siada na łóżku, wypluwa smoczek. Nie reaguję, dziewczynka kładzie się, popłakując. Znow siada, sięga po butelkę. Wkłada ją do buzi, zaczyna pić. Zaspia.

„Udało mi się” – myślę, patrząc na jej długie, ciemne rzęsy rzucające cień na zaczerwienione policzki i mokre od potu czoło. „Jakbym właśnie ułożyła cały świat do snu” – myślę jeszcze i natychmiast jest mi wstyd za to kliwne zdanie, jak łatwo przychodzą te puste formułki, puentki w parze z samozadowoleniem.

„Gorąco jej” – myślę. Przypomina mi się zdjęcie w piwnicy, zgrzane dziecko pod hałdami okryć, lalkowata twarz z rozwartymi oczami. Gaszę lampkę i ostrożnie kładę się obok. Zapominam zrobić jeszcze jedno mleko. Nad ranem dziecko budzi się kilka razy i próbuje ssać pustą butelkę.

Następnego dnia Ana mówi mi, że przemyślała sprawę, nie może prosić mnie o opiekę nad Maszą, to zbyt wiele. Zwolniła się, wczoraj był jej ostatni dzień w pracy.

Prozę w „Piśmie”
wspiera Miasto Gdynia,
sponsor Nagrody
Literackiej GDYNIA

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA



Partnerem poezji
w Piśmie jest
IKM, organizator
**Festiwalu
Europejski Poeta
Wolności**, który
odbędzie się
17–20 kwietnia
2024 w Gdańsku

POEZJA

Sycylijka

DARKO CVIJETIĆ

—

Zoranowi Žmiriciowi

Kiedy brata Zorana

W worku przywiozła ciężarówka

Matka wydała resztę jego ubrań

Część Caritasowi część Merhametowi

Kilka swetrów trafiło do

Domu starców ulicę obok

Zawsze gdy Zoran

Mijał ten dom

Widział sweter po bracie czerwony w kratkę

Na dziadku grającym w szachy

Każdy mat

Dany drewnianemu królowi

Wyrzynał mu scyzorykiem

Serce

Z języka chorwackiego przełożył Miłosz Waligórski

**DARKO
CVIJETIĆ**

(ur. 1968), bośniacko-hercegowiński poeta, prozaik, reżyser, aktor i dramaturg. Syn Chorwatki i Serba. Od 1990 roku wydał jedenaście tomów poetyckich. Jego wiersze tłumaczono na francuski, angielski, niemiecki, słoweński, hebrajski, albański, węgierski, polski, macedoński i jidysz. Członek Pen Clubu Bośni i Hercegowiny oraz Stowarzyszenia Pisarzy Bośni i Hercegowiny. Pracuje jako reżyser i dramaturg w Teatrze Prijedor w Republice Serbskiej.

Kosmos, jednorożce i wyspy szczęśliwości

tekst JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA

MENTORZY BEZ KOMPLEKSÓW, za to z pasją, uczenie się od lepszych i mierzenie wysoko – to sprawia, że impreza informatyków nie jest już smutną posiadówką czterech gości przy stoliku z ceratą.

Jest taki mem. Zdjęcie czterech chłopaków siedzących przy stole. Dwóch ma na sobie sweterki, trochę babcine, takie, jakie wszyscy mieliśmy w latach 90., bo moda nie nadążała za przemianami ustrojowymi. Stół jest nakryty ceratą, na nim kubki, takie bez ucha, co zawsze na koloniach parzyły ręce od za gorącej herbaty. Uśmiechają się niepewnie. Jest rok 1997. Zdjęcie zrobił profesor matematyki Jerzy Bednarczyk podczas obozu naukowego w Domu Wczasowym Zgoda w Zwardoniu, na który trafiali finaliści olimpiady matematycznej. Podpis: „impreza informatyków” (choć już teraz wiemy, że raczej impreza matematyków). Ha, ha. Podczas gdy mem zaczął żyć własnym życiem, a liczne iteracje prześcigały się w jego coraz „śmieszniejszych” wersjach, odgrywanie scenki przez dziennikarzy i polityków, chłopcy ze zdjęcia robili swoje. Programowali, liczyli, uczyli się.

Gdy dziś poszukamy tego zdjęcia w internecie, obok heheszków znajdziemy liczne artykuły zachwycające się światowym

sukcesem polskich informatyków ze zdjęcia. „Kiedyś wyśmiewani, dziś wielce doceniani”, „Zrobili międzynarodowe kariery” – krzyczą nagłówki. Postanowiłam sprawdzić, jak naprawdę potoczyły się ich losy.

Obecnie tylko jeden z „impresowiczów” mieszka za granicą – w Kanadzie. To Piotr Przytycki, który pracuje jako profesor matematyki na Uniwersytecie McGilla w Montrealu. Studenci chwalą go za znajomość swojej dziedziny, niektórzy nazywają go geniuszem, choć czasem wskazują, że lepiej się zna na matematyce niż na uczeniu. Wielu ostrzega przed niezbyt czytelnym piśmem profesora. W 2019 roku Amerykańskie Towarzystwo Matematyczne przyznało mu prestiżowe stypendium Centennial Fellowship. Pozostali bohaterowie słynnego zdjęcia mieszkają dziś w Polsce. Doktor Marcin Petrykowski, który wykładał na Uniwersytecie Wrocławskim, obecnie pracuje jako analityk w wielkiej międzynarodowej firmie Tietoevry, która zajmuje się tworzeniem oprogramowania na zlecenie. O trzecim

„impresowiczu” Janie Pelcu niewiele udało mi się dowiedzieć, oprócz tego, że w 1998 roku razem z Piotrem Przytyckim zakwalifikował się do olimpiady. O ostatnim z chłopaków ze zdjęcia można natomiast faktycznie powiedzieć, że podbił świat, a nawet kosmos. To ten bez okularów, przy stole siedzi w granatowym sweterku.

Historia Tomasza Czajki pokazuje, jak wiele elementów musi się połączyć, by móc odnieść sukces. A także skłania do refleksji co, oprócz talentu, pozwala polskim informatykom i inżynierom na wysokie loty, a co brutalnie ściąga ich na ziemię. I dlatego Polska ciągle plasuje się w ogonie Europy pod względem innowacji – czyli tych wynalazków i zmian, które mają wpływać na rozkwit gospodarczy firm oraz krajów. (W rankingu Global Innovation Index 2023, przygotowywanym przez Światową Organizację Własności Intelektualnej, Polska uplasowała się na czterdziestym pierwszym miejscu ze 132 ekonomii świata i dwudziestym szóstym wśród trzydziestu dziewięciu krajów europejskich. Tuż przed Grecją, a za Indiami. Wyprzedzają nas Łotwa, Węgry czy Słowenia).

—
ŻEBY ZACZAĆ odpowiadać na te pytania, warto zdefiniować, co oznacza obecnie sukces



w informatyce i innych nowoczesnych technologiach. Zapytałam o to dwóch profesorów, którzy od lat działają na styku nauki i biznesu.

– Sukces. Nie lubię tego słowa. Bo dla każdego to może być coś innego. Dla jednych jest to wygrana grantu w konkursie na uczelni, dla innych – prestiżowy grant Europejskiej Rady do spraw Badań Naukowych. To kwestia indywidualna – zaznacza profesor Tomasz Szapiro, był rektor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Profesor Piotr Moncarz z Uniwersytetu Stanforda, jeden z inicjatorów TOP 500 Innovators (sponsorowanego przez polski rząd programu, dzięki któremu 500 polskich naukowców i innowatorów miało szansę na staże i szkolenia między innymi na Uniwersytecie Stanforda, na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i Cambridge) i założyciel Polsko-Amerykańskiej Rady Współpracy, dodaje: – Sukces to bycie najlepszym uczniem w symbolicznym Pcimiu. Ale też najlepszym studentem na Uniwersytecie Warszawskim. Albo mistrzem świata w programowaniu. Te wszystkie osiągnięcia są sukcesami. Pytanie więc nie jest o to, czym jest sukces, ale jak wykorzystać swój potencjał.

Czyli jeżeli ktoś może być najlepszy na Harvardzie, to szkoda, żeby siedział na nieznannej uczelni i się nudził. A gdy ktoś ma potencjał, by jego firma stała się jednorożcem, czyli aby jej wartość była wyceniana na ponad miliard dolarów, to sukcesem będzie, gdy dołączy do tego grona. Ale nie każda firma musi mieć taki cel, bo sukces to spełnianie swoich marzeń, robienie rzeczy, które przydają się innym. Sukces, jak się zaraz okaże, to czasem wystrzelenie rakiety w kosmos i powrót do domu.

—
TA HISTORIA zaczęła się w Stalowej Woli, pod koniec lat 80. Tomek Czajka chodził do lokalnej podstawówki i od pierwszych lat interesował się matematyką.

– Ta pasja znalazła prawdziwe ujście w momencie, w którym zostałem stypendystą Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, w piątej czy szóstej klasie podstawówki – wspomina Czajka. Do programu zgłosiła go wychowawczyni, Eugenia Kozłowska. Fundusz to organizacja, która od

1983 roku wspiera uzdolnione dzieci w Polsce. Podczas kwalifikacji oceny szkolne nie są brane pod uwagę, liczą się zainteresowania, zajęcia dodatkowe, udział w konkursach czy olimpiadach naukowych. Fundusz nie daje swoim stypendystom gotówki, za to organizuje obozy naukowe i wyjazdy, także do najlepszych ośrodków naukowych świata, między innymi do Massachusetts Institute of Technology (MIT).

Ciekawość Tomka wreszcie zaczęła być zaspokajana.

– Starałem się brać udział w jak największej liczbie tych obozów, bo czułem się tam bardzo dobrze, poznawałem świetnych ludzi i przede wszystkim dużo się uczyłem. Szczególnie lubiłem te *stricte* matematyczne. Jeździłem też na chemiczne i fizyczne. Po jednym z nich byłem przekonany, że zostanę fizykiem – wspomina Czajka. W wieku jedenastu lat, w 1992 roku, Tomek dostał swój pierwszy komputer, ośmiobitowy Sam Coupé. Marzenie! Mało kto miał wtedy taki sprzęt w domu, ale jego rodzice,



z wykształcenia matematycy, pracowali jako programiści w Hucie Stalowa Wola. Dlatego w domu Tomka obecność komputera była oczywista. Jak wspomina jego mama w wywiadzie dla portalu Nowiny24.pl, sprzęt był dość prymitywny i nie miał żadnych gier. Żeby go używać, Tomek i jego brat musieli nauczyć się sami pisać programy.

Programowanie nie było jednak miłością od pierwszego wejrzenia. Młody Czajka nadal wolał matematykę i fizykę. Zdanie zmienił po zajęciach podczas któregoś z obozów naukowych. Tam dowiedział się też o istnieniu informatyki teoretycznej – algorytmiki. To spotkanie sprawiło, że w liceum zaczął brać udział w olimpiadach informatycznych. Jego nauczyciel matematyki z tych czasów,

Waldemar Rożek, wspomina, że Czajka miał dwa elementy konieczne do osiągnięcia sukcesu: talent i pracowitość. „Nigdy nie wymagał on większego kształtowania. Wystarczyło tylko wiedzieć, czego poszukuje, i podpowiadać coraz ciekawsze problemy. Czasami odnosiłem wrażenie, że najlepiej mu nie przeszkadzać. Sam parł do przodu. Bez przeszkód pokonywał wszystkie szczeble olimpiad matematycznych i informatycznych. Zwoził medale z międzynarodowych konkursów młodych matematyków w Argentynie, Korei Południowej i na Tajwanie” – opowiadał o swoim byłym uczniu Rożek. A Czajka dodaje, że pan Rożek nie tyle, że go uczył – uczył się głównie sam – ale bronił go przed innymi nauczycielami, którzy uważali, że za dużo czasu spędza na przygotowaniach do olimpiad.

Jak dziś twierdzi Czajka, to właśnie udział w olimpiadach zmienił bieg jego życia. Stały się celem i siłą napędową. A także kluczem, który otwierał kolejne drzwi do sukcesu. Profesor Krzysztof Diks, od trzydziestu lat zaangażowany w organizowanie olimpiad informatycznych, przyznaje, że dla wielu laureatów były one ważnym momentem w życiu, który zdefiniował ich dalszą drogę. Nie tylko otworzyły im drzwi na uniwersytet, ale też stworzyły ekosystem osób, które wzajemnie sobie pomagały. – Od zawsze stawialiśmy na relacje. Nigdy nie było bariery, że profesor z dziećmi nie gada. Sami jeździliśmy na te obozy, kibicowaliśmy młodym, uczyliśmy ich – tłumaczy profesor Diks.

Najzdolniejsi jechali na międzynarodową olimpiadę informatyczną. Kolejni wychowankowie widzieli, że jak się mierzy daleko, można dojść na sam szczyt. Polacy mają od lat ogromne sukcesy w tej rywalizacji. Od 1989 roku, kiedy po raz pierwszy wystawili swoich uczniów, zdobyli w sumie 127 medali, w tym czterdzieści dwa złote. Plasuje to Polskę na piątym miejscu na świecie, po Chinach, Rosji, Stanach Zjednoczonych i Korei Południowej.

Pytam więc profesora Diksa o to, na czym opiera się ten sukces polskich programistów.

– Dość szybko wyłapujemy talenty dzięki temu, że współpracujemy z nauczycielami z podstawówek czy liceów. Kiedy zaczynaliśmy te trzydzieści lat temu, robiliśmy szkolenia dla nauczycieli, pokazywaliśmy im, jak

przygotowywać uczniów do olimpiad i zawodów. Staraliśmy się trafić jak najszerzej, bo zdolni uczniowie są wszędzie. W miastach i wioskach. Oczywiście dużo też współpracujemy z najlepszymi szkołami i nauczycielami, którzy są zainteresowani inwestowaniem w talent wychowanków i mają wypracowane metody uczenia informatyki – tłumaczy.

Do takich szkół należą między innymi VI Liceum Ogólnokształcące w Bydgoszczy, warszawskie liceum Staszica czy gdyńska „Trójka”, które nazywane są kuźniami młodych talentów informatycznych. Często to nawet nie kwestia samych szkół, a konkretnych nauczycieli, jak Ryszard Szubartowski z Gdyni czy wspomniany Waldemar Rożek ze Stalowej Woli, którzy mają wyczucie do młodych, wiedzą, jak ich zmotywować, nauczyć i dodać skrzydeł albo jak nie przeszkadzać, by sami mogli pofrunąć po sukces.

– Docenienie młodych ludzi jest niezbędne w ich rozwoju. Takie metaforyczne głaskanie po głowie jest ważne, bo nakręca do nauki – dodaje profesor Diks. I tłumaczy, że często bardzo zdolne osoby są przyzwyczajone do tego, że są najlepsze w szkole, w klasie. Są zmotywowane. Gdy wychodzą poza swoją strefę komfortu, może się okazać, że już nie są najlepsze. W tym rola mentorów, którzy muszą je wesprzeć, docenić, właśnie pogłaskać po głowie. Nauczyć wyciągania wniosków z porażek i wytrwałości. To daje im pewność siebie, niezbędną do brania udziału w tego typu wyzwaniach.

– Udało nam się zbudować społeczność, która się trzyma razem i wspiera. Fajni ludzie, którzy robią fajne rzeczy, pomagamy sobie. A przede wszystkim ciągniemy się w górę, a nie w dół. Uczymy się od siebie. Nikt nie ma kompleksów, które uniemożliwiłyby docenianie innych – mówi profesor Diks – Byłem jakiś czas temu w siedzibie Google’a w Zurychu i śmiałem się, że można tam mówić po polsku, bo naprawdę sporo programistów to moi absolwenci albo olimpijczycy – dodaje.

Do sukcesu potrzebne jest jeszcze jedno, może najważniejsze: trzeba mierzyć wysoko, mieć wielkie marzenia i nie bać się ich spełniać. Mistrzowie świata w programowaniu? Dlaczego nie?

Arek Żarowski, jeden z laureatów listy 30 Under 30 magazynu „Forbes”, absolwent

Uniwersytetu Stanforda, a obecnie inwestor w funduszu *venture capital* w Dolinie Krzemowej, twierdzi, że jedną z największych przeszkód w tworzeniu innowacji i budowaniu globalnych firm jest właśnie brak odwagi. Bardzo kibicuje firmom z Polski i chciałby je mieć w swoim portfolio, ale jak mówi, często brakuje im tego mierzenia wysoko.

– Od polskich założycieli start-upów zamiast „podbijemy Azję i Europę”, słyszę: „Zaczynamy spokojnie w Warszawie. Następny krok ekspansji to Gdańsk, a potem się zobaczy”. Czasem ktoś widzi jako potencjalny

Często bardzo zdolne osoby są przyzwyczajone do tego, że są najlepsze w szkole, w klasie. Są zmotywowane. Gdy wychodzą poza swoją strefę komfortu, może się okazać, że już nie są najlepsze.

kolejny etap rozwoju Europę. Niemcy? Czechy? Oby nie za daleko. Ale jeżeli od razu nie ma się oczu skierowanych ku czemuś większemu, jak bycie globalnym jednorożcem, trudno w ogóle iść w tym kierunku. I szanse, że to się wydarzy, są niewielkie.

Na szczęście takich kompleksów nie mieli mentorzy Czajki. W 1999 roku wysłali Tomka na roczne stypendium Fundacji Wolności do prestiżowej Warwick School w Wielkiej Brytanii, by mógł podszkolić angielski i zobaczyć, jak to jest za granicą. Tomek przy okazji wygrał dla Anglii złoty medal w międzynarodowej olimpiadzie informatycznej rozgrywanej w Antalyi w Turcji. Gdy wrócił do Polski, nie myślał jednak o wyjeździe za granicę na studia. Dużo osób, które poznał w Polsce na olimpiadach, szło na prestiżowy kierunek na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego (MIMUW). Poza tym byli tam profesorem, których już poznał, między innymi Diks. Nie zastanawiał się więc długo, dokąd iść. Egzaminów wstępnych nie zdawał, jako laureat olimpiady nie musiał.

— NA STUDIACH Czajka skupiał się na konkursach programowania. Profesor Diks, który

pomagał mu się do nich przygotowywać, zauważa, że Polacy mogli być w tym dobrzy, bo w takich zawodach liczą się tylko głowy, a nie zaawansowane technologie, na które trzeba mieć duże pieniądze.

– Wbrew pozorom nie trzeba mieć sprzętu za miliony, żeby być dobrym w tym, czym jest jądro informatyki: w algorytmice. Komputer to tylko narzędzie. Ale pomysły, rozwiązania zależą tylko od tego, co wymyślą studenci. Na jaki pomysł wpadną. I jak szybko – tłumaczy profesor. Na studiach najlepsi jeżdżą na konkursy programowania, w tym akademickie mistrzostwa świata w programowaniu zespołowym (International Collegiate Programming Contest, ICPC). Drużyny mają pięć godzin na rozwiązanie jak największej liczby zadań algorytmiczno-programistycznych. Każda drużyna ma do dyspozycji jeden komputer. Rozwiązaniem jest program wysyłany do komputera sprawdzającego, który pokazuje wynik: tak lub nie; rozwiązanie zadziało albo nie. Jeżeli rozwiązanie jest poprawne, drużyna zawiesza balon przy swoim stoliku i robi kolejne zadanie.

W 2003 roku, gdy Tomasz Czajka brał udział w tych zawodach, w finale startowało sześćdziesiąt osiem drużyn z całego świata. Każda z nich musiała wcześniej przejść ostrą selekcję. Pięciu z tych drużyn nie udało się rozwiązać ani jednego zadania. Polakom udało się zawiesić dziewięć balonów, co dało im zwycięstwo – pierwsze w historii. Tomek Czajka z Andrzejem Gąsienicą-Samkiem (absolwent warszawskiego Staszica) i Krzysztofem Onakiem (z III LO w Tarnowie) odebrali puchar w Beverly Hills. Cztery lata później w Tokio udało się to kolejnemu zespołowi z Uniwersytetu Warszawskiego: Filipowi Wolskiemu (wychowankowi Ryszarda Szubartowskiego), Markowi Cyganowi (ukończył VI LO w Bydgoszczy) i Marcinowi Pilipczukowi (absolwent warszawskiego Staszica). Dziś Uniwersytet Warszawski może poszczycić się największą liczbą studentów w finale tych zawodów.

Choć Czajce świetnie szło w konkursach programistycznych (oprócz ICPC wygrał cztery razy prestiżowe zawody Top Coder i kilka innych ważnych rywalizacji), magisterki na uniwersytecie nie zrobił. Wydawało mu się, że zagranica ma coś więcej do zaoferowania, że go zainspiruje. Że będzie stanowić większe

wyzwanie. Że tam wykorzysta w pełni swój potencjał. Olimpiady międzynarodowe i zawody na studiach sprawiły, że zjeździł już trochę świata. Poznał ludzi z innych uczelni. Zobaczył, jak to może wyglądać poza Warszawą. Chciał sam spróbować. Czajka z licencjatem przeniósł się więc na Uniwersytet Purdue w Indianie na doktorat. To znana uczelnia; część kierunków, jakie można studiować na jej wydziale informatyki, plasuje się w dziesiątce najlepszych w Stanach Zjednoczonych w swoich dziedzinach. Przed wyjazdem Tomasz Czajka udzielił wywiadu portalowi Top-Coder. Na pytanie o niepowodzenia odpowiedział. „Nie przypominam sobie”.

JEDNAK NIE WSZYSCY zdolni mają takie szczęście jak goście z „imprezy informatyków”, żeby spotkać mentorów, trafić na swoich, móc bez przeszkód rozwijać skrzydła. Co się dzieje, gdy system nie wyłapie talentu odpowiednio wcześniej? Co, jeżeli ktoś nie ma rodziców informatyków ani nie poszedł do szkoły, w której nauczyciel zachęca do brania udziału w konkursach?

Bardziej wyboistą drogę przeszedł Wojciech Przechodzeń, jeden z założycieli start-upu Talkie.ai, wyróżniony na liście 30 *Under 30 „Forbesa”* w 2023 roku. Jego historia zaczęła się pod Łodzią, w Łagiewnikach. W szkole był bardzo dobry z przedmiotów ścisłych. Ale nikt – ani nauczyciele, ani rodzice – nigdy nie wspomnieli o możliwości edukacji za granicą. – To nie mieściło się w moim mentalnym języku w latach szkolnych – wspomina.

Do liceum poszedł do Łodzi i to było najdalej, jak sięgał wyobraźnią. To było wow, mało kto z jego gimnazjum zrobił taki przeskok. Niestety, zamiast głaskania po głowie raczej przypomina sobie podcinanie skrzydeł. Z jednym wyjątkiem. – Pamiętam dosłownie jedno zajęcia w liceum, gdzie



nauczyciel matematyki, który pojawił się na zastępstwie, wspomnieli, że mamy szansę na studia w innych miastach, bo on uczy w różnych szkołach i widzi, że jesteśmy zdolni. Tę lekcję pamiętam bardzo dobrze. Tylko tyle potrzebowałem, jednego zdania, żeby zdecydować, że zdaję na studia do Warszawy.

Poszedł na informatykę na Politechnice Warszawskiej, choć nigdy wcześniej nie kodował. Miał za to talent, zapał, pracowitość i ogromną motywację do działania. Studia były mało inspirujące, ale nadal nie widział

W Stanach Zjednoczonych nie przykłada się do olimpiad czy konkursów aż takiej wagi jak w Polsce. Do wygranych, ocen, bycia najlepszym. Tu ważna jest pomysłowość, pracowitość i to, jak twoja praca posuwa naukę lub technologię do przodu.

opcji, by je zmienić, wyjechać gdzieś indziej, otworzyć się na nowe. Od pierwszego roku ciężko pracował. W tamtym czasie nie był jeszcze nigdy za granicą, ale gdy pojawiła się okazja atrakcyjnego wyjazdu z pracy, koledzy przekonywali go, że nie ma po co jechać, że nie warto. Twarda szkoła życia.

Dziś Przechodzeń może powiedzieć, że odniósł sukces. Stoi na czele energicznie rozwijającego się start-upu, który próbuje zaistnieć też w Stanach Zjednoczonych. – Mamy tam pierwszych klientów i jasno widzimy, że mamy wszystko to, co najlepsze firmy amerykańskie w naszej dziedzinie: dobry produkt, innowację, czyli tworzenie nowych systemów i rozwiązań, ambicję. Ale żeby się przebić, potrzebna jest obecność tam, zrozumienie rynku i obeznanie kulturowe. Wiedza, jak poprowadzić *small talk*, jakie żarty są śmieszne. Tego ciągle się uczę.

W sprawnie działających systemach edukacyjnych nie trzeba się zdawać na łut szczęścia, że zdolni sami się ogarną i jakoś to będzie. Że ktoś komuś przypadkowo szepnie coś do ucha, że akurat zobaczyło się ulotkę. Bazyli Klockiewicz, który w 2021 roku obronił doktorat na Uniwersytecie Stanforda na prestiżowym Wydziale Inżynierii

Obliczeniowej i Matematycznej, mówi, że gdyby nie ambicje jego dziewczyny, to pewnie nigdy nie zrobiłby kariery w Dolinie Krzemowej.

– Od zawsze byłem bardzo dobry z przedmiotów ścisłych. Najlepszy w mojej szkole pod Poznaniem. Szkoła się mną chwaliła, wysyłali mnie na różne konkursy. Ale nikt nie nauczył mnie, jak do nich podchodzić. Bardziej na zasadzie: jesteś zdolny, idź i próbuj. Próbowałem więc swoich sił w zawodach matematycznych, ale przez wiele lat spalałem się na nich. Nigdy nie byłem laureatem olimpiady matematycznej. Choć od zawsze czułem, że jestem w przedmiotach ścisłych bardzo dobry i że mnie to interesuje, to przez brak sukcesów na olimpiadzie przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy matematyka jest dla mnie.

Po liceum Klockiewicz trafił na Politechnikę Poznańską (fizyka), a potem na Uniwersytet Poznański (matematyka). I choć ceni sobie te lata, bo młodość, bo było fajnie, przyznaje, że przez cały czas miał poczucie lekkiej nudy, niedosytu, że czegoś mu brakowało. Studia w Polsce nie zaspokoili jego ciekawości. Jego ówczesna dziewczyna, a dziś żona, Asia, wspomnieli, że chciała wyjechać za granicę na studia. To był pierwszy raz, gdy zdał sobie sprawę, że w ogóle jest taka możliwość. Jej ambicja zasiała w nim ziarno ciekawości i wziął udział w programie Droga na Harvard, pokazującym mechanizmy aplikowania na studia. Te dwa zdarzenia otworzyły mu oczy, że w ogóle można myśleć o czymś więcej niż Poznań czy Warszawa.

Gdy wyjechał do Kalifornii na Uniwersytet Stanforda, gdzie dostał się na studia doktoranckie, zobaczył, że zajęcia były na dużo wyższym poziomie niż w Polsce. Wreszcie spotkał ludzi, którzy dali mu poczucie prawdziwej satysfakcji z pracy akademickiej. A także pokazali, że ciekawe rzeczy dzieją się nie tylko na uczelniach, ale też w biznesie. Że wiedzę, którą zdobył w trakcie pisania doktoratu, można przekuć w pracę nad komercyjnymi projektami. – Na Stanfordinie zdałem sobie sprawę, że w Stanach Zjednoczonych nie przykłada się do olimpiad czy konkursów aż takiej wagi jak w Polsce. Do wygranych, ocen, bycia najlepszym. Tu ważna jest pomysłowość, pracowitość i to, jak twoja praca posuwa naukę lub technologię

Czytaj i słuchaj w wygodnej aplikacji mobilnej.

do przodu. Czasem oznacza to rozwiązywanie nie najtrudniejszych problemów, ale tych najbardziej istotnych – tłumaczy Klockiewicz.

Do podobnych wniosków doszedł Tomek Czajka. Gdy jechał na Uniwersytet Purdue na doktorat, chciał być naukowcem. Lubił algorytmy, matematykę i teoretyczne aspekty informatyki – do dziś czyta dużo prac naukowych w tych dziedzinach. Interesowały go trudne zadania i problemy do rozwiązania. Wtedy wydawało mu się, że praca akademicka jest bardziej twórcza niż cokolwiek innego. Jednak zmienił zdanie. Doktoratu na Purdue nie zrobił, choć przy okazji udało mu się obronić magisterkę.

Gdy opowiadam o tym profesorowi Tomaszowi Szapirze, potakuje i wraca do wspomnianego rankingu innowacyjności. – Ogólnie w tym rankingu wypadamy okej. Na tyle nas po prostu na razie stać – komentuje. Ale gdy się popatrzy na podkategorie, to jasne się staje, że największym problemem polskiej innowacji jest brak bezpośredniego wsparcia uczelni przez biznes i instytucje państwowe. Coś nie działa na styku biznesu i szkolnictwa wyższego. – Kiedyś nauka była dla nauki. Potem doszła myśl, że kompasem dla kształcenia na uczelniach jest nie tylko nauka, ale też późniejsze zatrudnienie absolwentów – tłumaczy. Następnym krokiem jest zrozumienie, że nauka to fundament w innowacji, że nie ma sensu tworzyć nauki w akademickiej próżni. Szapiro sam kiedyś miał takie poczucie, że gdy naukowiec robi coś dla biznesu, to zdradza naukę. Ale to już przeszłość. Niestety w Polsce jeszcze nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę. A skoro uczelnie zmieniają nasze życie, to powinny uczyć też tego, jak cieszyć się dobrymi skutkami zmian i zarazem zapobiegać wynikającym z nich, potencjalnym destrukcjom.

—
CZAJKA JEST SZCZERY do bólu, kiedy pytam o jego cele i misję: – Nie planowałem swojej kariery świadomie. Płynąłem z prądem – mówi. W tamtym czasie chciał spróbować swoich sił poza środowiskiem naukowym. Akurat odezwała się koleżanka z międzynarodowych zawodów programistycznych i powiedziała, że jest praca w Google'u. – Więc pojechałem do Mountain View w Dolinie Krzemowej. I tam programowałem. Miałem

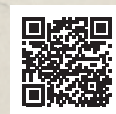
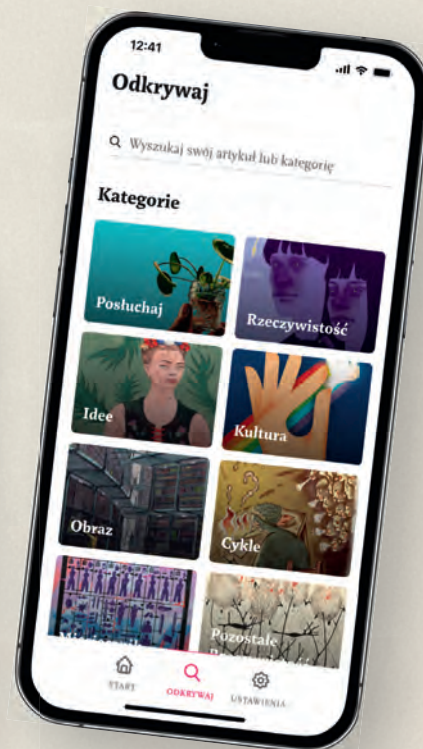
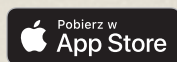
przewagę nad wieloma programistami, bo znałem dużo teorii, a nie tylko praktykę. Ale w Google'u dość szybko się zorientowałem, że moja praca nie ma wielkiego przełożenia na to, co się dzieje. Mnóstwo osób zajmuje się tym samym i kolektywnie robi się duże rzeczy, ale wkład jednej osoby nie jest znaczny – opowiada. Pracował tam między innymi nad infrastrukturą baz danych. – Na początku bardzo dużo się tam uczyłem. Ale też miałem świadomość, że jakbym kilka tygodni, a może nawet miesięcy nie pracował, to pewnie nikt by się nie zorientował – dodaje. A to mu odbierało satysfakcję.

Czuł, że jego potencjał nie jest wykorzystywany. Podpisał umowę z funduszem

hedgingowym w Nowym Jorku, kiedy dostał mail od rekruterki ze SpaceX. Pierwszy etap rekrutacji: test z kodowania. Dla Czajki prosty, bo takie testy robił, przygotowując się do konkursów informatycznych.

– Bardzo wierzę w to, że niezbędne jest, by na studiach uczyć, jak się uczyć. Nie mamy szans nadążyć za technologią. Ale gdy przedstawimy studentom, na czym polega jądro dziedziny, to resztę mogą sobie nadbudować – komentuje profesor Diks. Właśnie tak było w przypadku Czajki. O raketach i kosmosie nie miał pojęcia.

– Nie wiedziałem nawet, czym miałbym się tam zajmować. Więc gdy w trakcie rekrutacji zapytali mnie, co bym tam chciał



magazynpismo.pl/aplikacja

robić, to zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Bąknąłem coś, że chciałbym sterować statkiem kosmicznym. Tak stałem się gościem od nawigacji.

Z wypowiedzi Czajki przebija jego łatwość adaptowania się do nowych zadań i dziedzin. – Nagle, z dnia na dzień, byłem odpowiedzialny za oprogramowanie do nawigacji i naprowadzania komputera pokładowego do pojazdu kosmicznego Crew Dragon, który miał zawieźć kosmonautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) – opowiada.

ISS to największa struktura umieszczona przez ludzi w kosmosie. Działa jako ogromne laboratorium w wielu dziedzinach nauki. Od 2000 roku jest nieprzerwanie zamieszkała przez kosmonautów z całego świata. Do 2011 roku transportowały ich zarówno amerykańskie wahadłowce, jak i rosyjskie statki kosmiczne Sojuz. Potem został tylko Sojuz. W 2020 roku zmieniło się to za sprawą statku kosmicznego Crew Dragon, wyprodukowanego przez SpaceX, prywatną amerykańską firmę należącą do Elona Muska.

– Wcześniej Dragony latały na ISS, ale bezzałogowo. Musiałem się wszystkiego nauczyć, żeby w ogóle zrozumieć, co ci specjaliści od lotów kosmicznych do mnie mówią. Przez rok czytałem, co się dało. Projekt miał trwać dwa lata, potem pięć, a w końcu trwał siedem. Kulminacją był faktyczny start rakiety 30 maja 2020 roku. Po osiemnastu godzinach lotu dwóch astronautów dołączyło do swoich kolegów na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Gdy już był dzień zero, siedziałem w *mission control*, czyli centrum kontroli lotów, i obserwowałem, czy wszystko dobrze działa, i przyznaję, denerwowałem się. Wiele razy robiliśmy symulacje, ale to nie to samo. Cały czas musiałem sprawdzać, czy wszystko jest OK, decydować, czy kontynuować, czy anulować misję, sprawdzać, czy kod działa. Szczególnie stresujące były momenty, kiedy mój kawałek kodu miał coś robić. Przez dwa lata pracowałem między innymi nad logiką działania laserów, które mierzyły odległość od lusterek założonych na stacji kosmicznej. To one przy zejściu na stację obliczają, gdzie jest pojazd i z jaką prędkością podchodzi. Jest taki moment, że nie wiadomo, czy laser trafi w te lusterka, ma na to parę minut. Gdy się nie uda, trzeba anulować podejście,

odlecieć i można spróbować dopiero dobie później – opowiada Czajka.

Na szczęście wszystko się udało. Załoga doleciała na ISS, a cały projekt okazał się wielkim sukcesem. Światowe media pisały o „historycznym starcie” i „nowej erze lotów kosmicznych”. W naszym kraju na każdym kroku podkreślano, że to właśnie Polak przyczynił się do udanego lotu statku kosmicznego. Duma czy znowu kompleksy?

Mit sukcesu za granicą ciągle rezonuje w polskiej świadomości. Przez lata ten mit wykorzystywało wielu polskich akademików, którzy korzystali z możliwości wyjazdu po to, by wrócić do Polski na białym koniu i przypisać sobie sukces. Choć w rzeczywistości niczego podczas takiego wyjazdu nie odkryli.

— CIĄGŁE JESTEŚMY głodni sukcesu Polaków za granicą. Socjolożka profesor Monika Kostera z Uniwersytetu Warszawskiego, gdy robiła badania polskich przedsiębiorców z początku lat 90., spędzała z nimi długie godziny, a oni, opowiadając o swoich biznesach, bardzo lubili podkreślać historie z zagranicy. Jak to ktoś pojechał na targi do Nowego Jorku i tam musiał sam naprawiać maszyny, które wystawiali, bo nie działały (na szczęście był inżynierem!) albo jak ich towar się podoba za granicą, najbardziej w krajach arabskich. Tak jakby to, co robili na miejscu, było niewystarczające. Ale nic nie mogło przebić opowieści o tym, że udało się im wysłać dzieci za granicę na studia. Nieważne na jakie i nieważne po co. Ważne, że za granicą.

Według Kostery mit sukcesu za granicą ciągle rezonuje w polskiej świadomości. Dodaje, że przez lata ten mit wykorzystywało wielu polskich akademików, którzy korzystali z możliwości wyjazdu po to, by wrócić do Polski na białym koniu i przypisać sobie sukces. Choć w rzeczywistości niczego podczas takiego wyjazdu nie odkryli.

– Środowisko akademickie na całym świecie stoi przed wielkim dylematem, czym ma się stać, jak ma wyglądać. Jesteśmy w okresie

interregnum – przestały działać silne organizacje, które wiedziały, po co potrzebne są uniwersytety i ośrodki badawcze, i je utrzymywały. W starożytności to były państwa-miasta, w średniowieczu – głównie Kościoł i miasta, potem – Humboldt z państwem narodowym. A teraz nie ma takiej organizacji: nauka jest droga, trudno zarządzalna, więc nikt się po nas jeszcze nie zgłosił. Kto to będzie i w jakiej formie – to pytania istotne dla przyszłości ośrodków akademickich. To moment trochę przerażający, ale też pełen nadziei. Dziś nie wiadomo, co jest po drugiej stronie. Ale gdy to się wykrystalizuje, polska nauka będzie musiała stworzyć scenariusze, jak nadążyć za światem. Jak wspierać wszystkie dziedziny, nie tylko informatykę i inżynierię, ale też filozofię czy socjologię, by odpowiadać na potrzeby współczesnego świata. To, co obecnie obserwuję na zachodnich uniwersytetach – w przeciwieństwie do uczelni w Polsce – to gotowość do rozmowy o tym, jakie są przed nami wyzwania – dodaje Kostera.

Aby prowadzić takie rozmowy, konieczne jest otwarcie się na zewnątrz. Wymiana myśli. Bez tego trudno mówić o rozwoju.

– Gdy mi ktoś mówi, że ma najlepszy produkt na świecie, to pytam najpierw, czy w tym świecie bywał. Bo jak nie, to skąd może wiedzieć, jaki jego produkt naprawdę jest – komentuje profesor Piotr Moncarz. A profesor Tomasz Szapiro opowiada anegdotę, jak kiedyś na wsi pewien rolnik go przekonywał, że chłop musi pójść do wojska, bo inaczej będzie znał tylko swoje pole.

– Potrzebujemy otwarcia, by nie przekształcić uczelni w skanseny. Latami toczyłem wojnę o to, by mówić „edukacja w Polsce” a nie „polska edukacja”, nie „polskie uniwersytety”, tylko „uniwersytety w Polsce”. Musimy wyjeżdżać, ale też przyjmować ludzi z innych krajów, kultur, ośrodków

Więcej na ten temat możesz posłuchać
10 marca o godz. 17:00 na antenie

chillizet

Warszawa 101,5 FM, Katowice 93,6 FM,
Kraków 93,7 FM, Hel 107,8 FM oraz na
www.chillizet.pl

naukowych. Tylko taka płynność i cykliczność, w której ludzie wyjeżdżają, a potem wracają, zapewnia potencjał do rozwoju i innowacji – komentuje profesor Szapiro. I dodaje, że zna wielu wybitnych polskich naukowców, którzy naprawdę zmieniają świat, ale wielu z nich nie potrafi sprzedać się mediom. – Mówią skomplikowanym językiem, nie potrafią nakręcić setek, opowiedzieć przystępnie i zwięźle o tym, co robią i po co. Dlatego często wartościowi naukowcy pozostają w cieniu, przysłonięci przez łatwo strawnych intelektualnych „snickersów” – tłumaczy.

– Często spotykam się z polskimi rektorami, którzy narzekają, że nas, Polaków, na świecie nie poważają, że nie chcą o nas mówić – komentuje profesor Moncarz. – Odpowiadam im: „Nie chodzi o to, że was nie poważają, was po prostu nie ma”. Polska nie istnieje w Dolinie Krzemowej ani w innych ważnych dla innowacji miejscach, choć są tam Polacy. Żeby zaczęło się coś dziać wewnątrz, musimy mieć kontakt z tym, co dzieje się poza granicami Polski. Tylko w taki sposób możemy przesunąć się w rankingach innowacyjności, w których teraz jesteśmy daleko z tyłu – tłumaczy. Dlatego w lipcu tego roku planuje otworzyć Polskie Centrum Nauki, Innowacyjności i Przedsiębiorczości w Dolinie Krzemowej. Cel: pokazać polskim naukowcom i firmom, jak przygotować się, by wejść na amerykański rynek. Otworzyć się. Nawiązać współpracę.

—
GDY PRACA nad siedmioletnim projektem Crew Dragon się skończyła, a system nawigacji, w który był zaangażowany, już działał, teraz trzeba było go utrzymywać, ale już nie wymyślać. Do tego na świecie rozpełtała się pandemia COVID-19. Praca zdalna Czajce nie pasowała. Pod koniec 2020 roku wrócił do Polski.

– Pobyt w Ameryce dał mi szansę wziąć udział w projekcie, który faktycznie coś zmienia w świecie. W Polsce raczej nie znajdzie się przedsięwzięcia tej skali. Dlatego warto wyjechać i spróbować sił za granicą – mówi Czajka.

Polska oferuje mu teraz inne możliwości: skupienie się na rodzinie, na własnych projektach, również takich, które mają

znaczenie dla naszego kraju. Spełnia też marzenie sprzed lat, żeby sformalizować wiedzę matematyczną z książek jako coś, co jest w komputerze, co ten potrafi analizować i weryfikować. A potem zaprzęca do tego sztuczną inteligencję. Można by go wykorzystywać na olimpiadach matematycznych. – Zawsze uważałem, że to nie optymalne, że musieliśmy wszystko pisać na kartce, a potem ktoś to subiektywnie oceniał. Chciałbym, żeby uczestnikom olimpiady komputer od razu mówił, czy rozwiązanie jest OK, czy nie. Olimpiadom wiele zawdzięczam – tłumaczy.

Czajka należy do powołanego pod koniec stycznia 2024 roku zespołu „PL/AI Sztuczna inteligencja dla Polski” przy Ministerstwie Cyfryzacji. Ma opracowywać rekomendacje wykorzystania AI do usprawnienia działania państwa. Wśród doradców znalazł się także Marek Cygan, który wygrał puchar ICPC cztery lata po Czajce.

– To jest właśnie ta niezwykła społeczność – podłapuje profesor Diks. – My im coś daliśmy, gdy byli w liceum albo na studiach, a oni teraz sami z siebie oddają swoją wiedzę, doświadczenie i pasję kolejnym pokoleniom. To jest ten samonakręcający się system.

– Nie chcę burzyć pięknych wizji polskich sukcesów – mówi profesor Grzegorz Liśkiewicz z Politechniki Łódzkiej, inżynier i popularyzator nauki. – Gdy patrzę na polską edukację, w tym szkolnictwo wyższe, to faktycznie czasem widać wyspy szczęśliwości, które są na światowym poziomie, jak MI-MUW, ale niestety, poza tymi wyspami jest bardzo dużo średniactwa.

Zdaniem Liśkiewicza „samonakręcający się system” to rzadkość w polskiej nauce. Widzi raczej system „samocementujący się”, gdzie dobre pomysły i chęć zmian spotykają się z oporem, a nawet niechęcią, bo oznaczają dodatkową pracę. Gdzie najważniejszy jest tytuł przed nazwiskiem. Gdzie zmiany wymagają akceptacji większości, która woli bronić *status quo*. Gdzie brakuje intelektualnego fermentu, za to dużo jest klepania się po plecach. Żeby to zmienić, trzeba otworzyć się na świat.

Liśkiewicz odczuł to na własnej skórze, gdy wyjechał na Cambridge w ramach programu Top 500 Innovators oferującego

Program Kreatywna Europa

europejskie wsparcie dla sektora kultury i kreatywnego



Zdobądź grant na:

- projekty współpracy europejskiej
- wsparcie obiegu literatury europejskiej
- sieci europejskie
- platformy europejskie
- projekty mobilności dla artystów

Wejdź na www.kreatywna-europa.eu i dowiedz się więcej!



Współfinansowane przez
Unię Europejską

najzdolniejszym polskim naukowcom staże na najlepszych światowych uczelniach oraz gdy realizował część doktoratu w Szkocji. – Odeszła papierologia, która w Polsce zajmuje mi mnóstwo czasu. Mogłem się skupić na moich badaniach. To był najbardziej płodny zawodowo czas w mojej karierze naukowej. A poza tym poczułem to, co najważniejsze w instytucji naukowej: wspomniany intelektualny ferment. Całe środowisko stworzone było tam tak, by wymieniać się pomysłami, dyskutować, inspirować. U nas tego często brakuje. Na papierze nasze uniwersytety wyglądają podobnie co ich zachodnie odpowiedniki. Podobne struktury, budynki, wydziały. Ale niestety często brakuje w nich treści, wigoru, a przede wszystkim misji. Nie takiej opublikowanej na stronie internetowej, ale takiej, w którą się wierzy i która jest Gwiazdą Polarną, wskazującą drogę przy podejmowaniu decyzji.

Z tą diagnozą zgadza się profesor Piotr Moncarz, który prowadzi wspomniany program. – Polscy naukowcy mają zapał i wiedzę. Ale brakuje systemowego wsparcia i międzynarodowej współpracy. Zamiast tego jest dużo efekciarstwa i wydawania pieniędzy nie tam, gdzie trzeba. Nie tylko w sprzęt należy inwestować, ale również w ludzi. Ile razy słyszałem, że mamy mikroskop lepszy niż na Stanfordzie. Ale potem okazuje się, że nie ma nikogo, kto potrafiłby go obsługiwać, czy że tak naprawdę nie ma pomysłu, jak wykorzystać jego pełną funkcjonalność. Zamykanie się na innych często wynika z kompleksów. Ze strachu, że ocenią, zobaczą, że jest gorzej. Ale bez tego nie ma możliwości, żebyśmy mówili o wykorzystywaniu talentów.

Profesor Liśkiewicz, który za kilka miesięcy pakuje swoją pięcioosobową rodzinę do samolotu i leci na roczne stypendium do Teksasu, planuje wrócić z pozytywną energią do zmian. Z nowymi pomysłami na badania. – To, że tam jest świetny sprzęt i zaplecze, to super. Ale tak naprawdę liczę na to, że to doświadczenie pomoże mi przewietrzyć głowę, zainspirować się i zaważać o siebie. Bo wierzę, że mamy w Polsce ogromny potencjał. Wyspy szczęśliwości już są. Tylko jeszcze nie ma masy krytycznej, która stworzyłaby zmianę systemową. Ale krok po kroku, z każdym odkrytym talentem, który nie

boi się zmieniać świata, zapala się światelko nadziei. W ten sposób będzie można łączyć te wyspy szczęśliwości w całość, budować nowe lądy. Kto wie, może w ten sposób nawet dojdziemy do kosmosu? Na szczęście specjalistę od nawigacji w kosmosie mamy już na pokładzie.

Bazyli Klockiewicz, który po doktoracie pracował nad największym procesorem świata, rok temu zdecydował się na powrót do Polski. Wrócił jednak z zupełnie innym

Polscy naukowcy mają zapał i wiedzę. Ale brakuje systemowego wsparcia i międzynarodowej współpracy. Zamiast tego jest dużo efekciarstwa i wydawania pieniędzy nie tam, gdzie trzeba.

nastawieniem niż z niej wyjeżdżał. – Fakt, że w Polsce na razie cały czas jest pustynia z pojedynczymi oazami innowacji. Ale po powrocie mam poczucie, że mogę się bez problemu do tych oaz dostać. I w ten sposób posuwać świat do przodu – podsumowuje.

Arek Żarowski też chce za kilka lat wrócić do kraju i budować most pomiędzy Stanami a Polską. Nie chce dokładać się do drenażu mózgow (według raportu przygotowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości w latach 2004–2018 Polska w liczbach bezwzględnych była największą w Europie ofiarą tego zjawiska, czyli emigracji osób wysoko wykwalifikowanych). A to, czego nauczył się na Stanfordzie i w najlepszych światowych funduszach *venture capital*, chciałby wykorzystać do tego, by Polska stała się nie tylko hubem programistów, ale też innowacji. – Mamy świetnych specjalistów, wybitnych przedsiębiorców, ale brakuje nam wizji, że to w ogóle możliwe. Wiedzy o zarządzaniu i tworzeniu kultury organizacji, w której docenia się talenty i daje im autonomię – tłumaczy. Najpierw chce się jednak nauczyć więcej o tym, jak tworzy się jednoróżce, co jest składnikiem innowacji, jak budować kulturę organizacji i co jest potrzebne do tego, by talenty nie tylko zauważać, ale też dodawać im skrzydeł.

Mentorzy bez kompleksów, za to z pasją, otwarcie się na świat, uczenie się od lepszych, docenianie talentów i mierzenie wysoko – to sprawia, że impreza informatyków nie jest już smutną posiadówką czterech gości przy stoliku z ceratą. Najnowsza wersja zdjęcia zrobiona przez Ministerstwo Cyfryzacji to już sześć osób, w tym dwie kobiety: Agnieszka Mikołajczyk-Bareła i Kamila Staruga – czyli zespół doradców „PL/AI Sztuczna inteligencja dla Polski”. Każdy z improwiczów ma imponującą wiedzę i karierę. W przyszłości, miejmy nadzieję, impreza ta przeniesie się z kuchni do salonu, a potem na parkiet. I będzie bardziej przypominać *rave party* z tysiącami uśmiechniętych innowatorów i innowatorek, z których każdy i każda mogą rozwinąć swój potencjał. A wspólnie potrafią tworzyć projekty, o których zwykli śmiertelnicy jak ja będą mówić: „Ale kosmos!”.

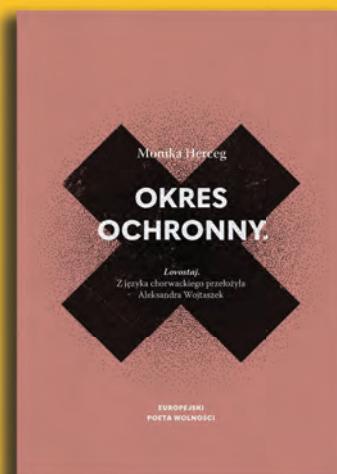
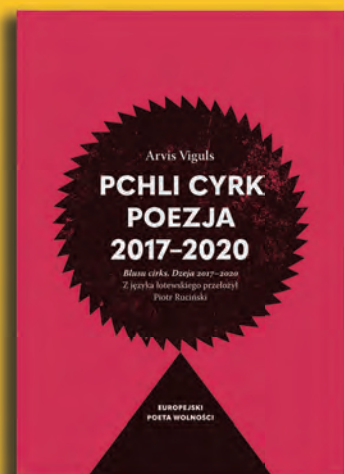


Weryfikację faktów w „Piśmie” wspiera EMIF, prowadzony przez Fundację im. Calouste’a Gulbenkiana. Fact-checking in „Pismo” is supported by EMIF, managed by Calouste Gulbenkian Foundation.

The sole responsibility for any content supported by the European Media and Information Fund lies with the author(s) and it may not necessarily reflect the positions of the EMIF and the Fund Partners, the Calouste Gulbenkian Foundation and the European University Institute.

Europejski Poeta Wolności

Nagroda Literacka Miasta Gdańska i Festiwal
Spotkajmy się 17-20 kwietnia 2024 w Gdańsku!



Tomy finalistów i finalistek
możesz zamówić, pisząc
na: ksiegarnia@ikm.gda.pl

Program festiwalu i informacje:
europejskipoetawolnosci.pl
[FB/europejskipoetawolnosci](https://www.facebook.com/europejskipoetawolnosci)



organizator:
instytut
kultury
miejskiej

partner:
NURTY
księgarnia
ikm

patroni medialni:

Pismo.

IKSIAZKI

trojmiasto.pl

prestiz
magazyn trojmiejski